

Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 10 (2014)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

W cieniu Anny Frank. Szanse Żydów na przeżycie w okupowanej Holandii

In the Shadow of Anne Frank: The survival of Jews from the Nazi-occupied Netherlands

Bob Moore
Uniwersytet w Sheffield

redakcja@holocaustresearch.pl
ORCID: https://orcid.org/0000-0001-6766-4264

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.529
Strony/Pages: 384-406

CC BY

OPEN ACCESS

Bob Moore

W cieniu Anny Frank. Szanse Żydów na przeżycie w okupowanej Holandii

W swoim ostatnim, dogłębnym studium na temat 75-procentowej śmiertelności wśród społeczności żydowskiej w okupowanej Holandii Pim Griffioen i Ron Zeller twierdzą, że zidentyfikowali główne czynniki, które odróżniają niekorzystnie ten kraj od warunków i okoliczności w krajach sąsiednich, Belgii i Francji, gdzie odsetek ocalonych był znacznie większy[1]. Ich zdaniem, decydująca różnica polegała na pozostawieniu Niemcom swobody działania, dzięki czemu mogli zorganizować rejestrację Żydów, odizolować ich, doprowadzić do pauperyzacji, a w końcu deportować. Te elementy – w połączeniu z brakiem liczącego się ruchu oporu i dominującą pozycją amsterdamskiej Rady Żydowskiej, nastawionej na współdziałanie z Niemcami – są kluczowe dla zrozumienia, dlaczego liczba Żydów deportowanych z Holandii była tak duża, zwłaszcza w zestawieniu ze znacznie większym odsetkiem ich francuskich i belgijskich współwyznawców, którym udało się ocaleć. Poza tym autorzy podkreślają, że nawet w kraju tak jednorodnym jak Holandia występowało zróżnicowanie geograficzne – w niektórych prowincjonalnych miastach i miasteczkach Żydzi mieli większe szanse przeżycia, dzięki szczególnym okolicznościom i większej operatywności lokalnych przywódców[2]. Choć trudno polemizować z tak imponującą i szczegółową analizą, nasuwa się jednak pytanie, jak to możliwe, że niektórzy Żydzi zdołali przeżyć w coraz bardziej wrogim środowisku, które pozbawione było „sprzyjających czynników" przemawiających na ich korzyść[3].

W 1940 r. społeczność żydowska w Holandii liczyła 160 815 osób, w tym 118 295 obywateli holenderskich i 22 252 cudzoziemców, w znacznej części uchodźców przybyłych z Niemiec i Austrii po 1933 r. Pozostałą grupę, złożo-

[1] Pim Griffioen, Ron Zeller, *Jodenvervolging in Nederland, Frankrijk en België 1940–1945. Overeenkomsten, verschillen, oorzaken*, Amsterdam: Boom, 2010, s. 637–684.

[2] Marnix Croes, Pieter Tammes, *Gif laten wij niet voortbestaan: Een onderzoek naar de overlevingskansen van joden in de Nederlandse gemeenten, 1940–1945*, Amsterdam: Aksant, 2004; Marjolein Schenkel, *De Twentse Paradox: De lotgevallen van de joodse bevolking van Hengelo en Enschede tijdens de Tweede Wereldoorlog*, Zutphen: Walburg Pers, 2003.

[3] A.J. van der Leeuw, *Meer slachtoffers dan elders in West-Europa*, „Nieuw Israëlitisch Weekblad", 15 XI 1985.

ną z 20 268 osób, tworzyli ci, których Niemcy zaliczali do kategorii *Mischlinge*: potomkowie jednego lub dwojga dziadków należących do wspólnoty żydowskiej[4]. Ostatni przedwojenny spis powszechny wykazał, że 111 917 policzonych Żydów stanowiło ledwie 1,41% całej populacji. Z tego 58,5% mieszkało w Amsterdamie, kolejne 20% w Hadze i Rotterdamie, a zatem jedynie około 10% żyło w mniejszych miastach i miasteczkach, pozostałe zaś 10% – na wsi[5]. Pod względem zawodowym największa ich koncentracja występowała w handlu hurtowym i detalicznym, głównie wyrobami włókienniczymi, co w istocie wskazywało na wysoki stopień pauperyzacji. Istotnie, społeczność żydowska była zorganizowana na kształt piramidy: jej szczyt tworzyła mała grupa niezwykle bogatych rodziny bankierskich, kupieckich lub związanych z handlem diamentami, poniżej znajdowała się stosunkowo mała klasa średnia utrzymująca przyzwoity standard życia, a na samym dole się sytuował się nieproporcjonalnie liczny proletariat żydowski, który w dużej części żył na granicy ubóstwa lub wręcz poniżej tego poziomu[6].

Podczas okupacji, trwającej od maja 1940 do ostatecznego wyzwolenia kraju 5 maja 1945 r., niemiecka administracja cywilna w Holandii bardziej sprzyjała realizacji „ostatecznego rozwiązania" i deportacji żydowskiej części populacji. Powierzenie urzędu komisarza Rzeszy Arthurowi Seyss-Inquartowi oznaczało obecność znacznych sił niemieckiej policji i SS. W połączeniu z uległością większości holenderskiej administracji i gotowością do współpracy ze strony miejscowej policji składało się to na sytuację krańcowo różną od tej, jaka cechowała sąsiednie Belgię i Francję, gdzie okupacja wojskowa została zorganizowana w odmienny sposób. Wprawdzie pierwszych żydowskich zakładników aresztowano i wywieziono do Mauthausen już wiosną 1941 r., ale masowe deportacje z Holandii zaczęły się dopiero w lipcu 1942 r. Przeprowadzono je tak skutecznie, że do września 1943 r. tylko garstka Żydów pozostawała legalnie w kraju. W 102 transportach do Auschwitz, Sobiboru, Kosel, Theresienstadt i Bergen-Belsen wywieziono z Holandii w sumie 102 993 osoby. Prawdopodobnie kolejne 2000 holenderskich Żydów wywieziono w podobne miejsca z Francji i Belgii. Z Auschwitz i Kosel wróciło tyko 1052 spośród 60 185 deportowanych, z Sobiboru

[4] Gerhard Hirschfeld, *Niederlande* [w:] *Dimension der Völkermords. Die Zahl der jüdischen Opfer des Nationalsozialismus*, red. W. Ben, München: Oldenbourg, 1991, s. 137; Abel J. Herzberg, *Kroniek der Jodenvervolging 1940–1945*, Amsterdam: Meulenhoff, 1978, s. 66–67, 317.

[5] Emanuel Boekman, *Demografie van de Joden in Nederland*, Amsterdam: Hertzberge, 1936; J.C.H. Blom, J.J. Cahen, *Joodse Nederlanders, Nederlandse Joden en Joden in Nederland* [w:] *Geschiedenis van de Joden in Nederland*, red. J.C.H. Blom i in., Amsterdam: Balans, 1995, s. 254.

[6] Jakob P. Kruit, *Het jodendom in de Nederlandse samenleving* [w:] *Antisemitisme en jodendom*, red. Hendrik J. Pos, Arnhem: Van Loghum Slaterus, 1939, s. 212; Blom, Cahen, *Joodse Nederlanders…*, s. 262–264. Niewykwalifikowany pracownik zatrudniony na pełnym etacie był w stanie zarobić 1500 florenów holenderskich (Dfl) rocznie, ale w 1937 r. dochód 69% amsterdamskich Żydów nie dochodził do 1000 Dfl.

– ledwie 18 z 34 313. Dużo lepiej powiodło się deportowanym w późniejszym okresie do Theresienstadt, gdzie ocalało 1980 na 4771 wywiezionych i Bergen-Belsen (2050 na 3724). Ogólnie jednak odsetek tych, który przeżyli, był mniejszy niż 5%[7]. Wziąwszy pod uwagę to, że większość deportowanych została zamordowana lub zmarła wskutek wycieńczającej pracy w obozach na Wschodzie – co jest porównywalne ze współczynnikiem umieralności w Polsce, która doświadczyła całkowicie odmiennej formy okupacji – nazistowska realizacja „ostatecznego rozwiązania" w Holandii okazała się pod każdym względem niebywałym sukcesem. Niezależnie od tego, czy sukces nazistów wynikał ze skuteczności sprawców, specyfiki kraju, czy nastawienia i postępowania ofiar, wciąż zasadne pozostaje pytanie, jak to się stało, że 25% zdołało mimo wszystko wymknąć się oprawcom. Ogólniej biorąc, ocalenie można rozpatrywać w kategoriach ucieczki z kraju bądź ukrywania się, z tym że ta druga kategoria mieści w sobie bardzo różnorodne doświadczenia, od ukrywania się w piwnicach i na strychach, po prowadzenie mniej lub więcej jawnego życia pod przybraną tożsamością. Ta druga kategoria mieści w sobie również pomoc oferowaną przez osoby postronne, jak i niedoceniane często elementy samopomocy.

Bez wątpienia wielu mieszkających w Holandii Żydów rozumiało, że nazistowskie Niemcy lat trzydziestych są dla nich zagrożeniem, ale jednocześnie wierzyli oni, że ich kraj uniknie okropności wojny i okupacji, tak jak to się stało w latach 1914–1918. Inwazja dokonana 10 maja 1940 r. wywołała więc powszechny szok i chaos. W zamęcie wiele osób ruszyło na wybrzeże. Tysiące uciekinierów z dużych miast na zachodzie oblegało porty nad Morzem Północnym w nadziei, że przedostaną się do Anglii. Ponieważ tylko nieliczni mieli dostęp do prywatnych samochodów, a transport publiczny został wstrzymany, wielu z nich przemieszczało się pieszo lub na rowerach, wlokąc ze sobą cały dobytek, jaki zdołali unieść. Ostatecznie powiodło się tylko znikomej garstce potencjalnych uciekinierów, gdyż większość łodzi i statków odmawiała zabrania ich na pokład. Poza tym porty były kontrolowane przez holenderskie wojsko, które broniło dostępu cywilom i niszczyło instalacje portowe, by nie wpadły w ręce Niemców. Do tych nielicznych wyjątków należała królowa, która 13 maja została ewakuowana razem ze swoim gabinetem z Hoek van Holland na pokładzie dwóch brytyjskich niszczycieli[8]. Czasem jednak upór popłacał. Truus Wijsmuller-Meijer, która wcześnie była zaangażowana w *Kindertransporte* – wywożenie dzieci z Niemiec i Austrii – zdołała znaleźć pięć samochodów, wydostać od komendanta garnizonu w Amsterdamie przepustkę uprawniającą do podróży i przetransportować do Ijmuiden 75 swoich podopiecznych przebywających w sierocińcach w Am-

[7] Hirschfeld, *Niederlande*, s. 137; Jules Schelvis, *Sobibor. A History of a Nazi Death Camp*, Oxford: Berg, 2007, s. 198–199.

[8] Louis de Jong, *Het Koninkrijk der Nederlanden in de Tweede Wereldoorlog*, t. 3, 's-Gravenhage: Staatsuitgeverij, 1970, s. 279–291.

sterdamie[9]. Potem przekonała strażników i umieściła dzieci na ostatnim odchodzącym z portu statku. Niektórzy uciekli na mniejszych łodziach. Na przykład jedna z żydowskich rodzin spędziła tydzień na otwartym morzu, nim dopłynęła do wybrzeży Anglii. Z kolei grupa studentów i uciekinierów zarekwirowała w Scheveningen łódź ratunkową i choć silnik wysiadł im w połowie drogi, dotarli do Anglii za pomocą holownika. Inni nie mieli tyle szczęścia, musieli zawrócić albo zginęli od min lub niemieckich ataków z powietrza. Istnieją wprawdzie szacunkowe dane dotyczące pierwszych *Engelandvaarders* (uciekinierów do Anglii), ale nie obejmują tych, którym się nie powiodło. Liczba Żydów, którym udało się w ten sposób uciec, jest niewielka[10].

Wobec trudności, jakich nastręczała przeprawa przez Morze Północne, alternatywnym wyjściem dla tych, którzy postanowili uciec przed niemieckim wojskiem, było kierować się na południe, do Belgii i Francji. Wśród zapełniającego drogi tłumu znajdowali się Żydzi – zarówno holenderscy, jak i obcokrajowcy – uciekający z miast na zachodzie kraju. Większość z nich, zaskoczona przez niemiecki manewr okrążający, który uwięził francuskie i brytyjskie oddziały w północnej Francji, musiała zawrócić do domu. W takiej sytuacji znaleźli się uchodźcy z Niemiec, żydowscy konwertyci, którzy przeszli na protestantyzm i których przetrzymywano w obozie w Sluis, skąd jako obywateli wrogiego państwa deportowano ich razem z internowanymi narodowymi socjalistami do Belgii. Tam ich wojskowa eskorta została uznana za piątą kolumnę i aresztowana. W końcu oni także zostali zagarnięci przez niemieckie natarcie i większość wróciła do Holandii[11]. Żydzi przebywający na wschodzie kraju często nie mieli dość czasu, żeby podjąć jakiekolwiek działanie ze względu na bliskość linii frontu i tempo niemieckiej ofensywy, aczkolwiek nawet pensjonariusze głównego obozu dla uchodźców w Westerbork zdążyli przed kapitulacją kraju przenieść się do pobliskiego miasta Leeuwarden[12]. Natomiast dla większości mieszkających w Holandii Żydów ucieczka nigdy nie była realnym rozwiązaniem. Zostali zaskoczeni przez niemiecką inwazję, byli zbyt biedni i za słabo przygotowani, żeby w ogóle brać ją pod uwagę. Tu należy wspomnieć o innej, drastycznej reakcji na niemiecką inwazję, a mianowicie o widocznym wzroście liczby samobójstw wśród Żydów w Amsterdamie i w całej Holandii[13].

Wydawało się, że następne miesiące przyznały słuszność tym, którzy przyjęli bierną postawę, czyli większości Żydów. Po kapitulacji Francji wielu

[9] Truus Wijsmuller-Meijer, *Geen tijd voor tranen*, Amsterdam: van Kampen, 1961.

[10] Agnes Dessing, *Tulpen voor Wilhemina. De Geschiedenis van de Engelandvaarders*, Amsterdam: Bakker, 2004; de Jong, *Het Koninkrijk…*, t. 3, s. 401–406.

[11] De Jong, *Het Koninkrijk…*, t. 3, s. 451–452.

[12] D.H. Couvee, *De meidagen van 40*, Den Haag: Bakker, 1960, s. 308–310.

[13] Wout Ultee, Frank van Tubergen, Ruud Luijkx, *The Unwholesome Theme of Suicide: Forgotten Statistics of Attempted Suicides in Amsterdam and Jewish Suicides in the Netherlands for 1936–1943* [w:] *Dutch Jews as Perceived by Themselves and by Others*, red. Chaya Brasz, Yosef Kaplan, Leiden: Brill, 2001, s. 325–354.

uciekinierów repatriowano i niewiele wskazywało no to, że Niemcy planują tak drakońskie kroki przeciw Żydom, jakie cechowały zeszłoroczną inwazję na Polskę. Wprawdzie od razu narzucili pewne restrykcje, ale ich publiczne deklaracje podziałały uspokajająco i wydawało się, że nie trzeba podejmować żadnych pochopnych działań. Kiedy więc Niemcy zażądali od Żydów, by zarejestrowali siebie i swoje mienie, ogromna większość podporządkowała się temu, wychodząc ze słusznego poniekąd założenia, że nie ma sensu łamać prawa, skoro władze i tak dysponują większością tych informacji i w razie potrzeby mogą je sprawdzić. Specyfiką Holandii – wielce szkodliwą dla Żydów – było istnienie powszechnego systemu ewidencji ludności w połączeniu z dowodami tożsamości wprowadzonymi przez gorliwego szefa biura ewidencji Jacoba Lentza[14]. Później okazały się one główną przeszkodą dla każdego, kto próbował zejść do podziemia. Z czasem szanse na ucieczkę coraz bardziej malały. Regułą stały się systematyczne kontrole we wszystkich środkach transportu publicznego, granice były pinie strzeżone – nawet te nowe, oddzielające okupowane i nieokupowane terytorium Francji. Najbliższe naturalne granice były oddalone o kilkaset kilometrów, a wobec braku informacji na temat warunków podróżowania sama myśl o wyruszeniu w drogę wywoływała przerażenie większości Żydów.

Aczkolwiek w Holandii nie doszło do gettoizacji Żydów, w ciągu dwóch pierwszych lat okupacji rosła liczba antysemickich restrykcji, które stopniowo izolowały ich od reszty holenderskiego społeczeństwa. Żydów pozbawiono możliwości zatrudnienia, zmuszono do sprzedaży udziałów w firmach i zdeponowania majątku w banku Lippmann Rosenthal[15], gdzie był ściśle kontrolowany[16]. W wypadku nominalnie zamożnej klasy średniej zakres możliwości był zatem drastycznie ograniczony. Poza tym wszelką myśl o łamaniu niemieckich zarządzeń mitygowało wspomnienie żydowskich zakładników, zatrzymanych po strajku w lutym 1941 r. W odwecie za strajk 389 zakładników zesłano do Buchenwaldu, a potem do Mauthausen, gdzie prawdopodobnie wszyscy stracili życie w ciągu kilku tygodni. W świadomości prawomyślnych Żydów sprzeciwienie się Niemcom kojarzyło się więc z karą i ze śmiercią[17]. Jeszcze większe znaczenie miało powołanie po strajku amsterdamskiej Rady Żydowskiej, która w krótkim czasie

[14] Regina Grüter, *Fatale liefde voor bevolkingsregisters*, „Historisch Nieuwsblad" 2013, t. 22, nr 5, s. 36–43; Bob Moore, *Nazi Masters and Accommodating Dutch Bureaucrats: Working towards the Führer in the Occupied Netherlands, 1940–1945* [w:] *Working towards the Führer*, red. Tim Kirk and Tony McElligott, Manchester: Manchester University Press, 2003, s. 186–204.

[15] Od 1895 r. działał w Amsterdamie cieszący się zaufaniem bank Lippmann Rosenthal & Co. Niemcy stworzyli afiliowaną przy nim odrębną instytucję, którą wykorzystywali do konfiskowania mienia żydowskiego i której nadali taką samą nazwę, aby stworzyć wrażenie, że zdeponowany tam majątek jest bezpieczny – przyp. tłum.

[16] Gerard Aalders, *Roof. De ontvreemding van joodse bezit tijdens de Tweede Wereldoorlog*, 's-Gravenhage: Sdu, 1999.

[17] Jacob Presser, *Ondergang. De vervolging en verdelging van het Nederlandse jodendom*, 's-Gravenhage: Staatsuitgeverij, 1965, t. 1, s. 86–89; Herzberg, *Kroniek*, s. 119–125.

zdominowała wszystkie aspekty życia Żydów. Rada wciągnęła w orbitę swoich wpływów wszystkie lokalne instytucje społeczne, kontrolowała opiekę społeczną, edukację, finanse, posiadała status jedynego ciała uprawnionego do reprezentowania Żydów. To uniemożliwiło zaistnienie jakiejkolwiek innej instytucji, która reprezentowałaby alternatywne (i mniej uległe) podejście, jak to się działo w Belgii i we Francji.

Możliwości ucieczki z Holandii pozostawały nader ograniczone i obarczone ogromnym ryzykiem. W krótkim czasie Żydzi dostali zakaz przebywania na terenach nadmorskich, ale choć Niemcy wprowadzili ścisły nadzór i zaminowali pas wybrzeża, nie powstrzymało to całkowicie kolejnych, desperackich prób ucieczki. W roku 1942, na przykład, dziesięcioosobowa grupa Żydów zaplanowała ponoć przeprawę łodzią rybacką z Scheveningen przez Morze Północne, zostali jednak zdradzeni przez niemiecką służącą[18]. Teoretycznie można było wyruszyć drogą lądową do neutralnej Szwajcarii lub Hiszpanii, taka podróż była jednak najeżona trudnościami: wymagała wiarygodnych dokumentów zezwalających na wjazd do kolejnych krajów, trzeba było mieć zezwolenie na podróż, jej prawdopodobny cel, znaleźć po drodze bezpieczne miejsca, gdzie można się było zatrzymać. Ścisła kontrola prowadzona w środkach transportu publicznego oraz na terenach przygranicznych sprawiła, że podróżowanie zwykłymi drogami stało się wyjątkowo niebezpieczne. Zamiast tego można było skorzystać z pomocy tajnych organizacji lub usług przemytników. Te możliwości ani związane z nimi niebezpieczeństwa nie były szerzej znane społeczności żydowskiej w Holandii nawet w 1942 r. Na przykład kiedy zaczęły się deportacje, Mozes i Jenny Gans dowiedzieli się przypadkiem o pewnym Żydzie z mieszanego małżeństwa, któremu udało się przedostać do Szwajcarii, toteż jako ludzie młodzi i niemający zobowiązań rodzinnych postanowili zrobić to samo. Po serii niebezpiecznych zajść z przemytnikami i uniknięciu kilku potencjalnych denuncjacji trafili wreszcie na siatkę przerzutową, która wzięła ich pod swoje skrzydła i przeprowadziła do granicy szwajcarskiej. Stamtąd przeszli pieszo przez Jurę. Ich pełna perypetii historia pokazuje wyraźnie, że takiego planu nie dało się przeprowadzić samodzielnie. Decydując się na ucieczkę, małżonkowie nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństw i nie wiedzieli, jak daleko zdołają dotrzeć. Z pewnością musieli mieć pieniądze, żeby płacić za usługi, z których korzystali, ale to oczywiście dodatkowo zwiększało ryzyko, że padną łupem bezwzględnych kryminalistów. Ponieważ ocaleli, przetrwała też ich narracja. Inni wyruszyli w tę samą drogę, ale zostali zatrzymani przez straż lub wydani Gestapo[19].

Większość działających w Europie Zachodniej siatek przerzutowych nie zajmowała się wyłącznie ani nawet głównie Żydami; powstawały po to, by pomagać

[18] Zob. Piet Spaans, *Verraad in Scheveningen*, „Geschiedkundige Vereniging Die Haghe Jaarboek" 2011.

[19] Jenny Gans-Premsela, *Vluchtweg. Aan de bezetter ontsnapt*, Baarn: Bosch en Koning, 1990, s. 30–42.

uciekinierom politycznym, jeńcom wojennym i alianckim cichociemnym[20]. Najsłynniejszą siatką przerzutową związaną z Holandią była zapewne holendersko-paryska grupa stworzona przez Jeana Weidnera, która pomagała holenderskim uchodźcom przedostać się przez terytorium nieokupowanej Francji do Szwajcarii lub Hiszpanii. Z czasem Weidner nawiązał kontakty w Belgii, a nawet w samej Holandii, dzięki czemu udało się przerzucić około 600 Holendrów, 200 Francuzów, 100 Belgów i 100 alianckich cichociemnych. Rozmiary siatki, która rozrosła się do blisko 300 osób, okazały się dla niej zgubne; kiedy w Paryżu aresztowano jednego z kurierów, znaleziono przy nim notes z adresami. W efekcie większość siatki została zwinięta przez Niemców i Milicję Francuską, wiele kluczowych postaci aresztowano, reszta musiała się ukrywać[21].

Dla Żydów przebywających w Holandii większe znaczenie miała siatka zorganizowana przez nauczyciela i pacyfistę Joopa Westerweela. W sierpniu 1942 r. Westerweel dowiedział się o rychłej deportacji syjonistów, którzy przechodzili szkolenie rolnicze w gospodarstwie w Loosdrecht. Większość z nich Niemcy zatrzymali od razu na początku okupacji jako zakładników. Ci, którzy pozostali, nie mieli raczej złudzeń, co oznacza „praca przymusowa na Wschodzie". Westerweel wykorzystał swoje kontakty i w ciągu 72 godzin zdołał znaleźć tymczasowe schronienie dla wszystkich 48 praktykantów. Z czasem wykształciła się siatka pomagająca zejść do podziemia następnym Żydom. Kiedy dotychczasowe kryjówki przestały być bezpieczne, a wyszukiwanie nowych stawało się coraz trudniejsze, opracowano plan ewakuacji. W sumie grupa Westerweela pomogła mniej więcej 200 Żydom, w tym 70 syjonistom praktykantom. Dla około 50 znaleziono schronienie na terenie Holandii, resztę przeszmuglowano do Francji, z czego blisko połowa przeniknęła do Organizacji Todt w charakterze pracowników cywilnych, a pozostałych przeprowadzono przez Pireneje do Hiszpanii. Cena, jaką za tę działalność zapłacili ludzie, była znaczna. Jedna z pierwszych grup, którą próbowano wysłać do Szwajcarii z przemytnikami, została wydana Niemcom; schwytano ich w Belgii, skąd wszystkich deportowano na Wschód. Z czasem wpadła większość przywódców siatki, w tym Westerweel, którego zatrzymano przez przypadek na granicy belgijskiej, gdy posłużył się dokumentami jednego ze swoich kurierów, nie wiedząc, że jest on poszukiwany przez Niemców za kilka poważnych przestępstw, m.in. za morderstwo[22].

---

[20] Jean H. Weidner, *De weg naar de vrijheid* [w:] *Onderdrukking en Verzet. Nederland in oorlogstijd*, red. Johannes J. van Bolhuis, t. 3, Arnhem: van Loghum Slaterus, 1952.

[21] De Jong, *Het Koninkrijk…*, t. 7, s. 898; Herbert Ford, *Flee the Captor*, London: Pan, 1999, s. 284–294.

[22] Yehudi Lindeman, *All or Nothing. The rescue mission of Joop Westerweel* [w:] *Making a Difference. Rescue and Assistance during the Holocaust*, red. David Scrase i in., Burlington VT: University of Vermont, 2004, Nederlands Institut voor Oorlogsdocumentatie (Holenderski Instytut Dokumentacji Wojennej, dalej NIOD), W. Westerweel, „Verzet zonder geweld. Ter herinnering van Joop Westerweel", odbitka powielaczowa, b.d., b.p.

Tak więc większość Żydów nawet nie próbowała uciec z okupowanej Holandii. Pełno jest historii o ofiarach, ewidentnie niezdolnych do ucieczki lub temu przeciwnych, które ze spakowanymi bagażami cierpliwie czekały na swoją kolej. Taka była obiektywna rzeczywistość, przed jaką stanęło wielu członków społeczności żydowskiej. Wyizolowani społecznie, obarczeni wielopokoleniowymi rodzinami, żyjący w ubóstwie, bez dostępu do informacji innych niż te, których dostarczała kolaboracyjna Rada Żydowska – nie mieli wielu opcji do wyboru. Latem 1942 r. dopiero tworzyły się zalążki ruchu oporu; rozwinął się dopiero później, kiedy próby pozyskania przez Niemców przymusowej siły roboczej przyjęły bardziej represyjne formy i objęły całą populację. Ten obraz żydowskiej pasywności wymaga jednak uściślenia. Od dawna uważa się, że około 25 tys. Żydów próbowało zejść do podziemia, z czego 8–9 tys. schwytano, a następnie deportowano[23]. Ta liczba jest w istocie wynikiem dedukcji – do znanej liczby ocalonych dodano znaną liczbę aresztowanych. Tymczasem nowsze badania dotyczące jednej z głównych grup amsterdamskich „szmalcowników", Henneicke Colonne, sugerują, że ona sama może być odpowiedzialna za aresztowanie ponad 8 tys. ofiar[24]. Jeśli uzna się te dane za wiarygodne, należy przyjąć, że ogólna liczba aresztowanych Żydów była wyższa i siłą rzeczy wyższa była liczba tych, którzy przynajmniej próbowali zejść do podziemia[25].

Aczkolwiek Anna Frank reprezentuje los wielu milionów ofiar Zagłady, historia jej rodziny ma niewiele wspólnego z doświadczeniem większości Żydów w Holandii, którzy zeszli do podziemia, by ratować się przed deportacją. Przede wszystkim Frankowie przybyli do tego kraju jako uchodźcy, a więc lepiej od innych rozumieli, co niosą w sobie niemieckie rządy. Otto Frank zdołał założyć firmę z siedzibą w Amsterdamie, mieszczącą się w lokalu, który pozwalał na urządzenie kryjówki. Zaalarmowany nasilającymi się restrykcjami wobec Żydów rozpoczął przygotowania na długo przed pierwszymi deportacjami, ale do realizacji swojego planu przystąpił dopiero 8 lipca 1942 r., kiedy otrzymał wezwanie; cała rodzina zeszła wówczas do podziemia[26]. Tego samego dnia Anna napisała w swoim dzienniku: „[…] wezwanie, każdy wie, co to oznacza, czułam już, jak w mojej wyobraźni wyłaniają się obozy koncentracyjne i samotna cela, i my mielibyśmy pozwolić wysłać tam tatę?"[27].

Kilka czynników przemawiało na korzyść rodziny; choćby to, że znajdowała się pod opieką nieżydowskich pracowników i miała dostęp do pewnych zasobów

[23] De Jong, *Het Koninkrijk…*, t. 7, s. 441; Presser, *Ondergang…*, t. 2, s. 245; Herzberg, *Kroniek…*, s. 316–318.

[24] Ad van Liempt, *Hitler's Bounty Hunters: The Betrayal of the Jews*, Oxford: Berg, 2005, s. 33.

[25] Marnix Croes, *The Holocaust in the Netherlands and the Rate of Jewish Survival*, „Holocaust and Genocide Studies" 2006, t. 20, nr 3, s. 490.

[26] *The Diary of Anne Frank. The Critical Edition*, red. David Barnouw i in., London: Viking, 1989, s. 5–18.

[27] Anne Frank, *Dziennik (oficyna), 12 czerwca 1942–1 sierpnia 1944*, tłum. Anna Dehue-Oczko, Warszawa: SAWW, 1993, s. 25 – przyp. red.

finansowych, gdyż Otto pozostał cichym udziałowcem swojej firmy. Nietypowe było też to, że cały czas – aż do 4 sierpnia 1944 r., kiedy to zostali wydani – spędzili w tym samym miejscu. Znane są oczywiście inne przypadki ukrywania się w jednym miejscu, np. wspomniane przez Jacoba Pressera małżeństwo, które przesiedziało 933 dni na krokwiach, na nieszczelnym strychu wiejskiego domu, zwykle jednak uciekinierzy musieli się przenosić lub byli przenoszeni, by ktoś niepowołany nie odkrył ich obecności[28].

Większość Żydów mieszkających w Holandii nie myślała o zejściu do podziemia, póki w lipcu 1942 r. nie zaczęły przychodzić wezwania i nie ruszyły deportacje. Chyba tylko nieliczni poczynili zawczasu jakieś przygotowania. Niezależnie od wymuszonej przez Niemców segregacji i izolacji społecznej, większość zawsze żyła we własnym, z gruntu żydowskim środowisku, co oznaczało, że mieli stosunkowo mało styczności z ludźmi innych wyznań. Stwarzało to potencjalnie niekorzystną sytuację, kiedy trzeba było szukać kontaktów ze światem zewnętrznym.

Zagrożeni Żydzi musieli zadać sobie pytanie, do kogo zwrócić się o pomoc. W relacjach tych, którym udało się zejść do podziemia i przeżyć, znajdujemy całą gamę możliwych odpowiedzi, niewiele jednak mamy informacji o nieudanych próbach znalezienia kryjówki, podejmowanych przez tych, którzy zostali deportowani i zamordowani. Do wyjątkowych należą te sytuacje, kiedy uciekinierzy lub ich gospodarze przeżyli i opowiedzieli swoją historię[29]. Bezpośrednia pomoc mogła przyjść ze strony nieżydowskich sąsiadów, przy czym niektórzy oferowali ją ewidentnie z własnej inicjatywy, a także dawnych pracowników, kolegów z pracy czy nawet pracodawców. Pośrednikami bywały dzieci, które opowiadały rodzicom o groźbie wiszącej nad przyjaciółmi i ich rodziny. Wiadomo też o nauczycielach, którzy zatajali tożsamość żydowskich uczniów i przychodzili z pomocą ich rodzicom. Jeden ze studentów opowiedział o pomocy zaoferowanej przez wykładowcę z uczelni, który ulokował jego rodziców u szwagra, po czym wszyscy zostali wywiezieni z miasta na wieś, gdzie znaleziono im bezpieczniejszą kryjówkę w gospodarstwie[30]. W tym wypadku rodzina po prostu zamknęła mieszkanie i wręczyła klucze sąsiadom, którzy najwyraźniej zdawali sobie sprawę z sytuacji, gdyż potem dzięki swoim kontaktom z ruchem oporu zdobywali dla nich niezbędne kartki na żywność.

Pomocne mogły być też więzi rodzinne lub przyjaźń z Żydami z małżeństw mieszanych. W tym drugim wypadku Żydzi lepiej rozumieli zagrożenie ze strony Niemców, ich współmałżonkowie zaś dysponowali kontaktami ze światem nieżydowskim, które były niezbędne do znalezienia potencjalnej kryjówki. Młoda Żydówka Lore Baer opisała, jak jej ojciec zaprzyjaźnił się z taką właśnie parą

[28] Presser, *Ondergang…*, t. 2, s. 266.

[29] Zob. np. van Liempt, *Hitler's Bounty Hunters…*, s. 114–125.

[30] United States Holocaust Memorial Museum (Amerykańskie Muzeum Pamięci Holokaustu, dalej USHMM), RG 50.030.241, Gerd von Halle, k. 7–8.

mieszkającą niedaleko Amsterdamu w nadmorskim kurorcie Zandvoort. Małżeństwo, mające najwyraźniej kontakty z podziemiem, pomagało jej rodzinie w znajdowaniu kolejnych kryjówek[31]. Na wczesnym etapie Żydzi z małżeństw mieszanych, nawet jeśli musieli nosić żółtą gwiazdę, byli w pewnym stopniu chronieni przed deportacją. Nie dlatego, by naziści okazywali im jakieś względy, ale z uwagi na to, że informacje o próbach pozbycia się ich wypłynęłyby poza środowisko żydowskie, oraz dlatego że władze musiałyby się zająć dziećmi z takich małżeństw[32]. Wydaje się, że żydowscy współmałżonkowie zachowali ten uprzywilejowany status nie dłużej niż do marca 1943 r., potem oni także musieli szukać kryjówek. Zdarzało się i tak, że nieżydowscy partnerzy zapewniali pomoc rodzinie współmałżonka lub nawet przechowywali w swoim domu innych Żydów[33]. Istnieje przekonanie, że w podobnej sytuacji znajdowali się konwertyci, którzy przeszli na chrześcijaństwo, przez co tworzyli pomost między światem żydowskim i nieżydowskim i byli w stanie odegrać pewną rolę w ratowaniu zarówno samych siebie, jak i innych Żydów. Tacy konwertyci byli jednak nieliczni, a poza tym dla Niemców pozostawali wciąż Żydami, sami więc podlegali represjom. Na przykład w odpowiedzi na protest przeciw deportacjom, odczytany 26 lipca 1942 r. z ambony kościoła rzymskokatolickiego, Niemcy przeprowadzili obławę na „katolickich" Żydów i część z nich niezwłocznie deportowali do Auschwitz[34].

Inną formę tymczasowej ochrony zapewnili sami Niemcy, gdyż ich biurokracja dopuszczała wykreślanie z list deportacyjnych. Przede wszystkim Rada Żydowska wystarała się dla swoich pracowników o 17 500 numerków zaświadczających o zwolnieniu od deportacji; na innych listach zwolnionych znalazły się osoby prominentne lub ci, którzy pracowali bezpośrednio na rzecz niemieckiej machiny wojennej[35]. Ten ostatni warunek pozwolił Philips Electrical Company, która była zaangażowana w realizację dużych kontraktów dla Luftwaffe, na zapewnienie względnego bezpieczeństwa zatrudnionym przez nią Żydom – najpierw w fabrykach w Eindhoven i potem, kiedy większość została deportowania do pobliskiego obozu koncentracyjnego Vught. Nawet ci, którzy w końcu trafili do Auschwitz, a następnie do fabryk w Niemczech, choć żyli w okropnych warunkach, zachowali specjalny status wykwalifikowanych robotników[36]. Tego rodzaju

[31] USHMM, RG 50.030.11, Lore Baer, k. 4.

[32] Johannes Houwink ten Cate, *Het Jongere Deel. Demografische en sociale kenmerken van het jodendom in Nederland tijdens de vervolging*, „Oorlogsdocumentatie 40–45 Jaarboek van het Rijksinstituut voor Ooorlogsdocumentatie" 1989, t. 1, s. 20.

[33] USHMM, RG 50.030.012, Christine Hilsum, s. 4.

[34] Croes, *The Holocaust in the Netherlands*..., s. 484–485.

[35] Presser, *Ondergang*..., t. 1, s. 194–196; H. Wielek, *De Oorlog die Hitler Won*, Amsterdam: Amsterdam Boek- en Courantmij N.V., 1947, s. 256–257; Bart van den Boom, *Den Haag in de Tweede Wereldoorlog*, The Hague: SeaPress, 1995, s. 167.

[36] P.W. Klein, Justus van der Kamp, *Het Philips-kommando in Kamp Vught*, Amsterdam: Contact, 2003.

zwolnienia dawały pewne zabezpieczenie wybranym grupom ludzi, niestety, w miarę upływu czasu stopniowo je unieważniano. Ci zatem, którzy sądzili, że numerki będą ich chronić w nieskończoność, dali się oszukać, ale dzięki chwilowemu odroczeniu osoby bardziej przedsiębiorcze miały czas na poszukanie pomocy i kryjówki. Poza tym – choć tego akurat nikt nie mógł wiedzieć – skracało ono czas przymusowego pobytu w podziemiu.

Bardziej zaskakujące i prawdopodobnie charakterystyczne tylko dla Holandii konsekwencje wyniknęły z pedantycznego sposobu, w jaki Niemcy zdefiniowali judaizm. Jako że nazistowska teoria rasowa odnosiła się w większości do Żydów aszkenazyjskich, można było przekonywać, że członkowie zasiedziałej społeczności sefardyjskiej są Żydami jedynie z racji wiary, nie zaś pod względem rasowym. Szef referatu spraw wewnętrznych dr Hans Calmeyer, do którego należało rozstrzyganie trudnych przypadków, otrzymał ponad tysiąc podań i niektórym „czystym" Sefardyjczykom faktycznie przyznano zwolnienia, choć – jak się okazało – tymczasowe. Z czasem wszystkie zwolnienia uległy anulowaniu, a ich posiadacze zostali przeznaczeni do deportacji przed lutym 1944 r. To samo biuro odpowiadało za wydawanie decyzji klasyfikujących *Mischlinge* i było zasypywane podaniami zawierającymi deklaracje o nieżydowskich przodkach. Często spotyka się opinię, że Calmeyer robił wszystko, co w jego mocy, by ratować Żydów, i wykorzystując swoje uprawnienia, przeklasyfikował wielu z ich do kategorii *Mischlinge* albo nie-Żydów. Sugeruje się, że te roszczenia były w większości bezpodstawne, a mimo to część z nich uznano[37]. Można dyskutować, czy decyzje podejmował sam Calmeyer, czy jego podwładni, aczkolwiek należy pamiętać, że jego biuro musiało uzasadniać swoje postanowienia przed SD, co było tym trudniejsze, że osoby oczyszczone z podejrzenia o bycie Żydem mogły domagać się od banku Lippman Rosenthal zwrotu swojej własności[38]. Kolejnym sposobem na ukrycie tożsamości było wystaranie się o obywatelstwo innego kraju. Wizy do krajów Ameryki Południowej stanowiły chodliwy towar w latach trzydziestych, kiedy Żydzi próbowali desperacko wyjechać z Niemiec i Austrii, wciąż jednak, jak się wydaje, konsulowie niektórych krajów południowoamerykańskich byli gotowi za odpowiednią cenę sprzedawać paszporty tym,

[37] Herzberg, *Kroniek…*, s. 184.

[38] *Rechtvaardigen onder de Volkeren. Nederlanders met een Yad Vashem – onderscheiding voor hulp aan joden*, red. Israel Gutman, Joseph Michman, Ria Loohuizen, Amsterdam–Antwerpen: Veen i NIOD, 2005, s. 723; Geraldien van Frijtag Drabbe Künzel, *Zwischen Tätern, Zuschauern und Opfern. Hans Georg Calmeyer und die Judenverfolgung in den besetzten Niederlanden* [w:] *Karrieren im Nationalsozialismus. Funktionseliten zwischen Mitwirkung und Distanz*, red. Gerhard Hirschfeld, Tobias Jersak, Frankfurt am Main–New York: Campus, 2004. Ruth E. van Galen-Herrmann, *De Controverse Rond het Ambtelijk Functioneren van Hans Calmeyer tijdens de Bezetting 1940–1945*, „Nederlands Juristenblad", 28 IV 2006, nr 17, s. 943; Matthias Middelberg, *Judenrecht, Judenpolitik und der Jurist Hans Calmeyer in den besetzten Niederlanden 1940–1945*, Göttingen: V&R Unipress, 2005; Peter Niebaum, *Ein Gerechter unter den Völkern, Hans Calmeyer in seiner Zeit, 1903–1972*, Osnabrück: Rasch, 2001.

których było na nie stać. Takie dokumenty dawały tymczasową, a czasem nawet permanentną ochronę, ponieważ Niemcy raczej unikali zatargów dyplomatycznych z państwami neutralnymi, a z czasem uznali, że posiadaczy takich dokumentów da się potencjalnie wymienić na niemieckich obywateli internowanych za granicą[39].

Wszystkie te próby uniknięcia deportacji na drodze urzędowej odnosiły, jak się okazało, skutek doraźny i wymagały albo pieniędzy, albo wpływów. Osoby bardziej przenikliwe wykorzystały dodatkowy czas na szukanie lepszego sposobu, by nie wpaść Niemcom w łapy, co w większości wypadków oznaczało zejście do podziemia. Ci, którzy dysponowali jakimś majątkiem, lecz nie mieli innych możliwości, decydowali się na kupno dokumentów, zazwyczaj fałszywych. Początkowo dowód tożsamości trzeba było ukraść lub odkupić od właściciela, ale to nie dawało wystarczającego zabezpieczenia, ponieważ właściciel mógł zgłosić władzom utratę dowodu i po sprawdzeniu w centralnym rejestrze oszustwo wychodziło na jaw. Trzeba też było zmienić miejsce zamieszkania, co z kolei narażało na wścibstwo nowych sąsiadów lub na dociekliwość miejscowych urzędników, których reakcji nie można było przewidzieć. Oczywiście, niektórzy Żydzi zdołali przechować się w ten sposób, ale ryzyko było znaczne. Poza tym tylko posiadacze papierów mogli otrzymać kartki upoważniające do zakupu żywności, bez których nie dawało się przeżyć. Dla Żydów posługujących się fałszywymi lub „poprawionymi" dokumentami korzystne okazały się napady na centralne rejestry, dokonywane w późniejszym okresie przez ruch oporu, ale system ten nigdy nie stał się całkowicie bezpieczny. Niewielu Żydów zdołało w ogóle uniknąć rejestracji, kiedy więc w 1940 r. wydawano nowe dokumenty identyfikacyjne, nie wpisano im żydowskiego pochodzenia, dzięki czemu mogli przeżyć okupację. Oczywiście byli narażeni na te same niebezpieczeństwa, jakie zagrażały całej cywilnej ludności.

Wiele osób posługujących się fałszywymi lub podrobionymi papierami decydowało się na wynajmowanie lokum lub na zamieszkanie w pensjonacie, przy czym właściciele mogli, choć nie musieli, być świadomi położenia swoich lokatorów. Niestety, takie obiekty stały się celem częstych niemieckich kontroli, a ci, których schwytano, mogli mimowolnie naprowadzić na ślad innych Żydów, jeśli wśród swoich rzeczy przechowywali adresy członków rodziny lub przyjaciół. Nietrudno też było ustalić, gdzie wynajmowali mieszkanie Żydzi schwytani na ulicy, ale właściciele zarzekali się, iż nie wiedzieli, że ich lokatorzy są Żydami, i unikali dalszych sankcji. Można by z tego wnioskować, że Żydzi nie mieli problemów z zakwaterowaniem w mieście, wydaje się to jednak mało prawdopodobne, zwłaszcza jeśli uwzględnimy duże skupiska zbiegów odkrywanych czasem w pojedynczych miejscach. Jeden z bardziej pomysłowych sposobów na bezzwłoczne znalezienie kryjówki – nawet jeśli tylko tymczasowej – wymyśliła rodzina, która uciekła ze swojego mieszkania w czasie łapanki. Po powrocie

[39] USHMM, RG 50.030.370, Renata Laqueur, k. 23.

przekonali się, że ich mieszkanie zostało zaplombowane przez Niemców. Mimo to weszli do środka i pozostali tam przez pewien czas, słusznie uważając, że jest to ostatnie miejsce, gdzie naziści będą ich szukać.

Alternatywny sposób polegał na znalezieniu kryjówki i gospodarza lub innej osoby, która zadba o żywność, schronienie i bezpieczeństwo. W panice wywołanej przez pierwsze wezwania i deportacje szukano często w pobliżu dotychczasowego miejsca zamieszkania, znalezienie kryjówki nie było jednak łatwe. Wiele nagabniętych osób odmawiało pomocy, inni wyrażali zgodę, ale nie kryli się ze swoimi opiniami. Jeden z ratujących powiedział: „to parszywa zgraja, ale oczywiście musimy im pomóc". Już w lipcu 1942 r., kiedy doszło do pierwszych łapanek, podziemna gazeta „Het Parool" przypuściła atak na tych, którzy mając „wypchane portfele i piwnice wypełnione zapasami żywności", nie wpuszczą Żydów nawet do szopy, gdy tymczasem w najbiedniejszych domach drzwi stoją przed ofiarami otworem. Możliwe, że jest to opinia przesadzona, ale tkwi w niej ziarno prawdy[40].

Znaleziona kryjówka mogła okazać się ciasnym pomieszczeniem, bez możliwości wychodzenia na zewnątrz. Podejrzliwi sąsiedzi i domokrążcy to odwieczny problem, ale niektórzy Żydzi trafiali do rodzin, gdzie nawet dzieci nie wiedziały o tym, że w domu przebywają „goście". Żeby nie wzbudzić podejrzeń, trzeba było zachowywać się bardzo cicho, nie zapalać światła pod nieobecność gospodarza, nie spuszczać wody w toalecie, kiedy ktoś przyszedł z wizytą. Jedno było jasne – bez względu na motywy skłaniające gospodarzy do przyjęcia pod swój dach Żydów, wszyscy oni, „niemal bez wyjątku, nie spodziewali się, że ich goście zostaną tak długo"[41]. Niektóre kryjówki były bardzo ryzykowne, wiele bez trudu wykryto z przykrymi lub wręcz fatalnymi konsekwencjami dla zbiegów i ich gospodarzy. Czasem jednak sprawdzały się nawet najbardziej nieprawdopodobne miejsca. Tak było w przypadku Żydów schowanych na strychu kawiarni, gdzie prowadzono ożywioną działalność podziemną; o innych wiadomo, że przez jakiś czas przebywali w domach zajmowanych przez niemieckich urzędników[42]. Wziąwszy pod uwagę wszystkie opowieści – te o cudem unikniętych wpadkach i niewiarygodnych zbiegach okoliczności oraz te liczniejsze, tragiczne, o Żydach wytropionych w kryjówkach – aż trudno uwierzyć, jak ktokolwiek zdołał przetrwać, ale żydowski kronikarz Abel Herzberg pisze o latach 1942–1943 jako o „relatywnie dużym sukcesie". Oczywiście, jedyną obiektywną miarą tego sukcesu jest liczba Żydów, którzy zeszli do podziemia i doczekali wyzwolenia[43].

W Amsterdamie, gdzie dzielnica żydowska jako taka już nie istniała, Żydzi często znajdowali sobie pierwszą kryjówkę w miejscu oddalonym od tych, które uważano za „żydowskie", oraz od tych, gdzie sami mogli zostać rozpoznani.

[40] Presser, *Ondergang…*, t. 2, s. 255.
[41] *Ibidem*, s. 256.
[42] *Ibidem*, s. 261–262.
[43] Herzberg, *Kroniek…*, s. 245; Presser, *Ondergang…*, t. 2, s. 60–61.

Z czasem jednak, kiedy Niemcy zastąpili selektywne łapanki masowymi akcjami, podczas których okrążali i przeszukiwali całe kwartały ulic, trzeba było szukać schronienia gdzie indziej. Do tego uciekinierzy i ich gospodarze potrzebowali wsparcia z zewnątrz. Zazwyczaj takiego wsparcia udzielały komórki ruchu oporu, jeśli takowe istniały, lub miejscowi duchowni, którzy często byli pierwszymi osobami, do jakich zwracano się o pomoc. Z czasem te kontakty przerodziły się w pierwszą siatkę wyspecjalizowaną w przerzucaniu Żydów z Amsterdamu do wiejskich kryjówek. Księża i pastorzy z miasta zwracali się – co było naturalne – do swoich zaufanych kolegów z „bezpieczniejszych" wiejskich parafii. Ci z kolei pośredniczyli w kontaktach z działaczami siatki lub ostrożnie sondowali nastawienie swoich parafian, choć sami nie angażowali się raczej w bezpośrednią, codzienną pracę, pozostawiając to innym. Dyskretna presja moralna, jaką przy tym wywierali, mogła mobilizować i faktycznie mobilizowała niektóre społeczności, choć nie należy przeceniać otrzymanej tą drogą pomocy ani liczby potencjalnych wybawców. Duchowni unikali zbyt gadatliwych oraz niepewnych parafian, ale i tak często spotykali się z odmową. Członkowie siatki musieli nieraz nieźle się napracować, nim obiecana pomoc faktycznie doszła do skutku, bywało, że posuwali się nawet do podrzucania uciekinierów potencjalnym gospodarzom tuż przed godziną policyjną[44]. Niezależnie od tego niektóre miasteczka i wioski stały się azylem dla Żydów, podczas gdy inne w ogóle się nie włączyły w pomoc.

Można zasadnie dowodzić, że zanim w Holandii rozwinął się na szerszą skalę skuteczny ruch oporu, dla większości Żydów było już za późno na ratunek. Wprawdzie niemieckie zapotrzebowanie na holenderską siłę roboczą nasiliło się w lecie 1942 r., czyli zbiegło się z pierwszymi deportacjami, ale wykształcenie się zorganizowanych form oporu wymagało czasu. Osoby zagrożone wywózką na przymusowe roboty do Niemczech nie miały zwykle problemu ze znalezieniem kryjówki u rodziny lub przyjaciół. Zresztą do czasu straszliwych masowych łapanek jesienią 1944 r. Niemcy nie szukali ich tak gorliwie jak zbiegłych Żydów. Najważniejszą powstałą wówczas organizacją była tzw. Landelijke Organisatie voor Hulp aan Onderduikers (LO). Zainicjowana została w kręgach ortodoksyjnych kalwinistów jesienią 1942 r., ale w organizację o krajowym zasięgu przerodziła się dopiero w roku 1943, kiedy większość Żydów została już deportowana. Nie znaczy to, że działalność LO była bez znaczenia. Jej umiejętność wykorzystywania zasobów i kompetencji szerokiego ruchu oporu do pozyskiwania fałszywych dokumentów i kartek żywnościowych w połączeniu z główną działalnością, polegającą na wyszukiwaniu melin dla osób uciekających przed branką na roboty przymusowe doprowadziła w efekcie do przejęcia istniejącej siatki oraz pojedynczych osób zaangażowanych w niesienie pomocy Żydom. Niestety, relacje działaczy pokazują, że w późniejszej fazie okupacji nawet im trudno było znaleźć ludzi, którzy chcieliby pomagać Żydom. Widać to choćby w relacji mówiącej o tym, z jaką łatwością znajdywano miejsca dla żydowskich dzieci:

[44] Na przykład siatka opisana w: Moore, *Survivors…*, s. 245–249.

> O dorosłych mówiłeś [tylko, że taka osoba] ma czarne włosy. Wiedziałeś tylko, jak wygląda. W ten sposób tkwili w pułapce, bo nawet pod koniec absolutnie odmawiali brania Żydów [45].

Mimo zaangażowania organizacji ukrywanie Żydów było w ostatecznym rozrachunku sprawą osobistą, rozgrywającą się pomiędzy gospodarzami a ich gośćmi. Każdy gospodarz narzucał gościom własne zasady – gdzie mogą przebywać, czy wolno im wychodzić na dwór, kiedy i jak dużo będą jedli. Żadna z tych kwestii nie była rozwiązywana w sposób standardowy, wszystko zależało od indywidualnego nastawienia gospodarzy oraz od tego, czy kryjówka uchodziła za bezpieczną. Warunki w poszczególnych miejscach ukrywania się były więc nieporównywalne. Małżeństwo, które spędziło ponad dwa i pół roku na strychu, nie należało bynajmniej do wyjątków, wielu uciekinierów miało minimalny kontakt z gospodarzami. Inni byli traktowani jak normalni goście, mieli własne sypialnie, ale też specjalne skrytki, z których korzystali w razie zagrożenia. Takie schowki mogły się znajdować w domach lub w innych budynkach na posesji. Wiejskie domostwa obfitowały w miejsca nadające się na kryjówki, włącznie ze stodołami, a nawet stogami siana. Tak więc niektórzy ukrywali się w pełnym tego słowa znaczeniu: pozostawali przez długi okres w izolacji, bez możliwości wychodzenia z kryjówki, a gospodarzy widywali wyłącznie w porach posiłków. W przeciwieństwie do nich uciekinierzy, którzy „nie wyglądali" na Żydów, mogli prowadzić stosunkowo normalne życie, pomagając w domu lub w gospodarstwie, zależnie od okoliczności.

Poza zagrożeniami z zewnątrz problem stanowiły relacje między gośćmi a gospodarzami. Trudno było zagwarantować dobre stosunki w sytuacji, gdy na przykład wykształceni Żydzi z miasta musieli nagle przystosować się do dużo bardziej prymitywnego życia w wiejskiej społeczności, bez tych wszystkich udogodnień, z których dotąd korzystali. Napięć wynikających ze stylu życia i zachowania nie dałoby się uniknąć, nawet gdyby obie strony nie żyły w bezustannym strachu przed wpadką i jej potencjalnymi konsekwencjami. Z tego punktu widzenia najwyższą cenę płaciły zwykle kobiety, które prowadziły dom i zapewniały aprowizację stałym, choć niewidocznym gościom. Trudno było opanować narastającą nerwowość, kiedy ukrywający się musieli pozostawać przez długi czas w zamkniętej przestrzeni, ale jej konsekwencje mogły być tragiczne. Tak było w wypadku małżeństwa przechowywanego w gospodarstwie w Friesland, które wymyśliło, że ukryje w ubraniach nazwisko swoich opiekunów, „bo wtedy, jeśli zostaną złapani, to pójdą wszyscy". Mimo sprzeciwu gospodarzy małżeństwo od nich zabrano. Następnego dnia znaleziono ich zamordowanych – najwidoczniej uznano, że stwarzają zbyt duże zagrożenie[46]. Pewna ratująca wspominała swojego „gościa", który zachowywał się dziwnie, a potem próbował oddać się w ręce policji. Tylko interwencja „dobrego" policjanta i rychłe wyzwolenie uchroniły ją

[45] NIOD, LO-LKP LO BP2 Het Gooi; *ibidem*, LO-Werk Oorlog 1940–1945.

[46] USHMM, RG 50.012.008, Rinze and Sjoukje Bouwma, k. 5–6.

przed represjami ze strony Niemców[47]. Inne tragedie były efektem toksycznych związków. Do pewnej rodziny, ukrywającej się w gospodarstwie, dołączyło drugie małżeństwo, którego przybycie okazało się fatalne w skutkach. Kiedy żona nawiązała romans z gospodarzem, zdesperowana żona gospodarza wydała ich wszystkich Niemcom[48].

Zdarzało się jednak, że to „goście" stawali się ofiarami bezwzględnych opiekunów. Prywatne umowy zawierały często wymóg płacenia pokaźnego „czynszu" (niektóre długi spłacano przez długie lata po zakończeniu wojny). Czasem gospodarze grozili gościom, że jeśli nie zechcą lub nie będą mogli zapłacić, zostaną wydani Niemcom. Jeszcze drastyczniejsze były sytuacje, kiedy gospodarze żądali od gości usług seksualnych, a w wypadku odmowy wydawali ich władzom[49]. Choć w tym czasie mogło się wydawać inaczej, władze niemieckie w Holandii dość pobłażliwie traktowały osoby przyłapane na pomaganiu Żydom. Formalnie groziła za to kara śmierci, ale od jesieni 1943 r. było powszechnie wiadomo, że w razie wpadki szło się najwyżej na sześć miesięcy do obozu koncentracyjnego. Nawet notorycznych „przestępców" puszczano nieraz wolno – może z niechęci do papierkowej roboty, a może po to, by w przyszłości wrócić po nich i zgarnąć jeszcze więcej Żydów[50]. Trzeba pamiętać, że niektórzy Żydzi poradzili sobie bez niczyjej pomocy, w tej liczbie osoby i rodziny, które mogły uchodzić za nie-Żydów i posługiwały się podrobionymi, pożyczonymi lub skradzionymi dokumentami. Żydzi, którzy przezornie nie zarejestrowali się w 1940 r. i w tej sposób uniknęli jednoznacznego stempla „J" w dowodzie tożsamości, mogli nadal żyć pod własnym nazwiskiem, choć byli zdani na łaskę znających je osób. Samodzielne życie w podziemiu przybierało czasem ekstremalne formy. Wprawdzie Holandia nie dysponuje nadmiarem dzikich lub odludnych obszarów, niektórzy Żydzi ukrywali się w ziemiankach wykopanych w lesie lub na wrzosowiskach i albo byli samowystarczalni, albo korzystali z pomoc okolicznych chłopów.

Jeśli znalezienie kryjówki dla dorosłych Żydów nastręczało trudności, to nie można tego samego powiedzieć o kryjówkach dla dzieci. Przeciwnie, można udowodnić tezę, że w trakcie deportacji i po ich zakończeniu podaż przewyższała popyt, a największą trudność sprawiało dotarcie do dzieci, które można było uratować. Trudno się dziwić, że żydowscy rodzice niechętnie zgadzali się na rozstanie z dziećmi. Dopiero gdy ruszyły deportacje i stało się jasne, że nic ich nie uratuje przed wywózką, niektórzy zaczęli rozważać ewentualność oddania synów i córek pod opiekę przyjaciół, sąsiadów, a nawet obcych. Poza prywatnymi umowami, na których temat brakuje koherentnych danych liczbowych, rodzicie

[47] USHMM, RG 50.030.012, Christine Hilsum, k. 5.

[48] USHMM, RG 50.030.241, Gerd von Halle, k. 14–15.

[49] USHMM, RG 50.030.146, Malnik, k. 5.

[50] Por. np. przypadek rodziny Bogaardów z Harlemmermeer: Cor van Stam, *Wacht binnen de dijken. Verzet in en om de Harlemmermeer*, Haarlem: De Toorts, 1986, s. 83–87, 92–94; De Jong, *Het Koninkrijk…*, t. 6, s. 336.

mieli niewiele opcji. Ostatecznie pomoc przyszła ze strony wyspecjalizowanych organizacji, związanych ze stowarzyszeniami studentów w Utrechcie i Amsterdamie, ze spółką Naamloze Venootschap, założoną przez kalwińskiego pastora Constanta Sikkela i z organizacją ruchu oporu Trouw. Najpierw zmobilizowali się studenci, którzy przygotowali pierwsze kryjówki z pomocą rodzin i przyjaciół. Największą trudność sprawiło im nawiązanie kontaktów z rodzicami. Pierwsze uratowane w ten sposób dzieci trafiły do nich z polecenia znajomych, później pomagał im pediatra z Amsterdamu, który miał wielu żydowskich pacjentów i mógł dyskretnie wypytać rodziców, czy nie szukają bezpiecznej kryjówki dla swoich dzieci. Tych, którzy powiedzieli „tak", studenci odwiedzali kilka dni później w domach, a wychodząc dyskretnie zabierali dzieci ze sobą. W pierwszych miesiącach deportacji niewielu zagabniętych rodziców przystało na tę propozycję. Większość zabierała dzieci ze sobą do Westerbork i w rezultacie całe rodziny trafiały na Wschód. Organizacje próbowały na własną rękę odwiedzać i przekonywać żydowskie rodziny, ale nie odniosły dużego sukcesu.

W końcu najefektywniejszą drogą dotarcia do dzieci okazał się żłobek [*crèche*] utworzony przy Hollandsche Schouwburg[51] w Amsterdamie, gdzie mieścił się punkt zbiorczy dla Żydów wywożonych do obozu przejściowego w Westerbork. Ponieważ budynek teatru nie nadawał się do zakwaterowania małych dzieci, umieszczono je w żłobku po drugiej stronie ulicy. Pracownicy żłobka szybko zorientowali się, że istnieją możliwości uratowania dzieci, ale dopiero gdy zgłosiła się do nich grupa Naamloze Vennootschap, przystąpili do realizacji planu i zaczęli odłączać po kilkoro od grupy, którą opiekunowie wyprowadzali na spacer. Działo się to wyłącznie za zgodą rodziców, a jak wspomina jedna z opiekunek, uzyskanie takiej zgody nie było wcale pewne.

> „[…] musiałeś próbować nawiązać kontakt z tymi ludźmi, mając dookoła siebie wszystkich innych, bardzo ostrożnie. […] „czy zostawisz nam swojego chłopca lub dziewczynkę? Dopilnujemy, żeby trafili do ludzi, którzy się nimi zaopiekują do waszego powrotu". Większość odmawiała[52].

Inaczej postępowano tylko w wypadku sierot – które Niemcy traktowali na równi z ukaranymi (*strafgevallen*) Żydami[53] albo wykorzystywali jako rezerwę, gdy w Schouwburg nie wystarczało dorosłych, by zapełnić transport – oraz kiedy pojawiało się miejsce dla konkretnego typu dzieci. Kluczowe dla drogi prze-

[51] Teatr Holenderski, mieszczący się w budynku z końca XIX w. W czasie okupacji jedyny teatr, do którego mogli chodzić Żydzi, i gdzie występowali żydowscy aktorzy. Od 18 VII 1942 r. w budynku teatru działał punkt zbiorczy, w którym przetrzymywano Żydów przed deportacją – przyp. tłum.

[52] Bert-Jan Flim, *Omdat Hun Hart Sprak. Geschiedenis van de georganiseerde hulp aan Joodse kinderen in Nederlands, 1942–1945*, Kampen: Kok, 1997, s. 134–135.

[53] Mowa o Żydach, którzy próbowali uniknąć deportacji. Schwytanych umieszczono w Westerbork w oddzielnym baraku o zaostrzonym rygorze i wysyłano na Wschód w pierwszej kolejności – przyp. tłum.

rzutowej było nawiązanie łączności między personelem żłobka a organizacjami zewnętrznymi, potrafiącymi zorganizować kryjówki. Odbywało się to na różne sposoby. Grupa oporu Trouw na przykład zainicjowała kontakt poprzez dyrektora sąsiedniego studium nauczycielskiego, a przylegające budynki studium wykorzystała jako drogę ucieczki. Wprawdzie dysponowano skutecznym sposobem wykradania dzieci, wciąż jednak trzeba było maskować przed Niemcami ich ubytek, a to oznaczało, że obecność pozostałych dzieci stanowiła przykrywkę dla ratowania nielicznych. W lecie 1943 r., tuż przed spodziewaną likwidacją żłobka przez Niemców, poproszono dyrektora studium Johana van Hulsta, by ukrył na swoim terenie żydowskie dzieci, które miały być odebrane później – po akcji.

> […] trzeba było zadecydować, które dzieci… To był najcięższy dzień w moim życiu. Wiedzieliśmy, że nie możemy ukryć wszystkich. Wiedzieliśmy też, że te, których nie weźmiemy, są skazane na śmierć. W końcu wziąłem dwanaścioro. Potem zadawałem sobie pytanie: Dlaczego nie trzynaścioro?[54]

Żłobek został definitywnie zamknięty 29 września, kiedy ostatnich Żydów deportowano do Westerbork. W dniach poprzedzających likwidację placówki jej pracownicy robili, co mogli, żeby wyprowadzić jak najwięcej dzieci. Oblicza się, że od lipca 1942 do września 1943 r. cztery duże siatki podziemne zabrały 385 dzieci, kolejnych 215 dzieci przejęły inne organizacje albo pojedyncze osoby. Mimo wszystko 600 uratowanych dzieci stanowiło jedynie 10–12% wszystkich, które przeszły przez żłobek podczas piętnastomiesięcznego okresu deportacji[55].

Wiele dzieci trafiało do opiekunów, kiedy całe rodziny żydowskie decydowały się zejść do podziemia. Uważano, że oddzielanie dzieci od rodziców jest bezpieczniejsze, ponieważ ci ostatni musieli się ukrywać, dzieci zaś miały szansę na prowadzenie „normalnego" życia. Często dochodziło też do rozdzielania rodzeństw, gdyż trudno było znaleźć kryjówki zdolne do przyjęcia więcej niż jednego lub dwojga dzieci. Zależnie od potrzeb i okoliczności dzieci były przewożone w różne rejony kraju przez kurierów, najczęściej młode kobiety, które mogły podróżować w ciągu dnia, nie wzbudzając podejrzeń. Siatki wkrótce odkryły, że niektóre dzieci znajdują dach nad głową szybciej niż inne. Najwięcej trudności sprawiało znalezienie miejsca dla tych, które miały „żydowski wygląd"; aby więc uprzedzić współtowarzyszy, czego mogą się spodziewać, wprowadzono system wewnętrznych kodów, kategoryzujący dorosłych i dzieci pod względem wieku oraz stopnia ich „żydowskości"[56].

---

[54] Flim, *Omdat Hun Hart Sprak…*, s. 157.

[55] *Ibidem*, s. 164.

[56] NIOD, LO-LKP LO-BO4, Arnold Douwes, Dziennik, 3 XI 1943 r., k. 54; *ibidem*, LO-LKP LOBP1, Blokzijl, Overijssel; Elma Verhey, *Om het Joodse Kind*, Amsterdam: Nijgh en van Ditmar, 1991, s. 37.

Nietrudno odgadnąć powody, dla których istniał relatywny – w zestawieniu z dorosłymi – nadmiar kryjówek dla dzieci. Na żydowskie dzieci patrzono jak na niewinne ofiary polityki nazistowskiej, nigdy jednak nie postrzegano w ten sposób ich rodziców. Bez wątpienia biblijne wzmianki o niewiniątkach umacniały jeszcze to przekonanie, zamazując oczywisty fakt, że dorośli Żydzi byli równie bezradni wobec nazistowskiej polityki rasowej. Oprócz tego dzieci można było łatwiej ukryć i potencjalnie łatwiej kontrolować[57]. Te poniżej 15. roku życia nie potrzebowały dokumentów identyfikacyjnych, wiele z nich mogło z powodzeniem uchodzić za dzieci ewakuowane z innych rejonów, szczególnie z Rotterdamu, zniszczonego przez bombardowania w maju 1940 r. Najczęściej podawano je za członków dalszej rodziny, co jednak sugerowało, że podzielają przekonania religijne swoich gospodarzy – rzymskich katolików, członków holenderskiego Kościoła reformowanego lub ortodoksyjnych kalwinistów – i będą chodziły z nimi w niedzielę do kościoła. To z kolei narzucało wymóg przyswojenia podstawowych zasad wiary, którą dzieci rzekomo podzielały, czyli w wypadku katolików – katechizmu, a w wypadku protestantów – Modlitwy Pańskiej. Dzieci przerzucane między rodzinami różnych wyznań musiały często zapoznać się z podstawami obu religii.

Bez wątpienia motywy, jakimi kierowały się osoby dające schronienie żydowskim dzieciom, wypływały z miłosierdzia czy pobudek altruistycznych. Cień na ich motywację rzucało jednak to, że dzieci, w przeciwieństwie do dorosłych, traktowano jako potencjalnych kandydatów do konwersji. Czasami te ukryte motywy wychodziły na jaw dopiero po wyzwoleniu, kiedy przybrani rodzice opierali się przed oddawaniem żydowskich sierot pod opiekę państwa lub ocalałej społeczności żydowskiej. Obawiali się, że gdyby dzieci nauczone podstaw wiary chrześcijańskiej powróciły do judaizmu, zostałyby uznane za odszczepieńców, a ich nieśmiertelna dusza byłaby zagrożona. Skrajnym przykładem takiej sprawy jest przypadek Anneke Beekman, przechowanej przez zakonnice, które wbrew decyzji holenderskiego wymiaru sprawiedliwości zatrzymały ją pod swoją opieką, póki nie osiągnęła pełnoletniości. W każdym razie niechęć, z jaką po wojnie oddawano dzieci żydowskim społecznościom, była na tyle powszechna, że kładła się cieniem na atmosferze powojennych lat[58]. Za tą formą rodzicielstwa zastępczego mogła się też kryć inna, jeszcze mniej chlubna motywacja. Niektórzy próbowali sobie „zamawiać" zastępcze dzieci, zwłaszcza niemowlęta (zawsze najłatwiejsze do ulokowania), wyszczególniając kolor oczu i włosów. Inni ewidentnie traktowali taki układ jako sposób na pozyskanie bezpłatnej siły

[57] Moore, *Survivors…*, s. 304.

[58] Joel S. Fishman, *Jewish War Orphans in the Netherlands – the Guardianship Issue 1945–1950*, „Wiener Library Bulletin" 1973–1974, t. 27, nr 30–31, s. 31–36; *idem*, *The War Orphan Controversy in the Netherlands: Majority–Minority Relations* [w:] *Dutch Jewish History*, red. Joseph Michman, Tritsah Levie, Jerusalem: Hebrew University, 1984; *Pinkas. Geschiedenis van de Joden in Nederland*, red. Joseph Michman i in., Ede: Kluwer, 1992, s. 219.

roboczej, którą można było niemal bez ograniczeń eksploatować ekonomicznie, a w niektórych ekstremalnych sytuacjach – także seksualnie.

Nawet jeśli przyjmiemy hipotezę, że w Holandii liczba Żydów próbujących ukryć się lub uciec przed nazistami była większa, niż się zwykle zakłada, pojawia się wciąż pytanie, dlaczego inni nawet nie próbowali zejść do podziemia? Brak odpowiednich środków, kontaktów i odwagi można uznać za najistotniejsze przyczyny, ale oprócz nich istniały też inne. Wiadomo o rodzicach wywierających presję na dorosłe dzieci, które z jakichś względów były zwolnione z deportacji, żeby nie schodziły do podziemia, bo w przeciwnym wypadku reszta rodziny, pozbawiona dotychczasowej ochrony, zostanie deportowana[59]. Często była to milcząca presja.

Czy dorośli mogli zostawić na pastwę losu dzieci albo starzejących się rodziców czy nawet dziadków? W wielu wypadkach posiadanie wielopokoleniowej rodziny i związanych z tym obowiązków wykluczało wszelką myśl o ratowaniu się albo stawiało przed rozdzierającym wyborem. Amichai Heppner wspomina swoich rodziców, którzy żeby zejść do podziemia, musieli zostawić w domu starców niedołężnego, chorego na cukrzycę dziadka[60]. Małżonkom zaoferowano oddzielne kryjówki, ale nie chcieli się rozstać i w końcu zostali wysłani na Wschód[61]. Zdarzały się też przyczyny natury materialnej. Na przykład pewien mężczyzna i jego wspólnik zadbali o wszystko, co było potrzebne, żeby ich rodziny mogły zejść do podziemia, ale w ostatniej chwili żona wspólnika nie zgodziła się na pozostawienie dobytku i mebli, zostali więc aresztowani i deportowani[62]. Inne relacje wspominają o poczuciu rezygnacji, jakie ogarniało wezwanych: „Głos matki był monotonny, nastrój fatalistyczny, jakby oczekiwała, że to zdarzy się lada moment. Była przekonana, że dla nas wszystkich jest to tylko kwestią czasu"[63].

Jak częstokroć wskazywano, kiedy ruszyły deportacje, Żydzi w Holandii nie mieli oczywistych źródeł pomocy z zewnątrz. Życie większości Żydów mieszkających w Amsterdamie było zdominowane przez Radę Żydowską, która przyjęła postawę uległości wobec niemieckich żądań. Izolacja społeczna oznaczała, że niemal każdy aspekt ich życia był kontrolowany przez Radę lub jedną z podległych jej organizacji. Kontrola nasiliła się w kwietniu 1943 r., kiedy Niemcy zażądali, by wszyscy Żydzi z prowincji przenieśli się do Amsterdamu. Odstępstwo od reguły stanowiły jedynie nieliczne społeczności na wschodzie kraju. Na przykład Rada Żydowska w Enschede (sukcesorka działającej w latach trzydziestych organizacji pomocy uchodźcom) aktywnie zachęcała do ukrywania się; w rezultacie w tym rejonie ocalało nieproporcjonalnie wielu Żydów[64].

---

[59] USHMM, RG 50.030.370, Renata Laqueur, k. 23.

[60] USHMM, RG 50.030.94, Amichai Heppner, k. 13.

[61] Kitty Zilversmit, *Yours Always: A Holocaust Love Story*, Bethesda MD: CDL, 1995, s. 110–112.

[62] Walter Emanuel, *Underground in Holland*, Amsterdam, 1979, s. 16.

[63] Zilversmit, *Yours Always…*, s. 112.

[64] Schenkel, *De Twentse Paradox…*, s. 82, 89–92, 138–141; Presser, *Ondergang…,* t. 1, s. 406–407.

Jak widać, spektrum wyborów, jakich mogli dokonywać Żydzi w Holandii, nie różniło się zbytnio od tego, jakie mieli do dyspozycji ich współwyznawcy w innych krajach Europy Zachodniej, ale dostępność poszczególnych opcji była bez wątpienia bardziej ograniczona i obwarowana liczniejszymi warunkami. Być może opór przed podejmowaniem nielegalnych działań był tu nieco większy, gdyż pamiętano o losie zakładników wziętych na początku okupacji i o karach, jakie spadły na Żydów uchylających się przed deportacją, ale ogólny wniosek pozostaje taki, że Żydzi w Holandii byli ofiarami okoliczności; w większości nie mieli oni wystarczających zasobów materialnych, by brać pod uwagę ewentualność ukrywania się przez nieokreślony czas, nie mogli też liczyć na pomoc organizacji działających w ich własnym środowisku ani na pomoc ruchu oporu. Ci, którzy próbowali zejść do podziemia, często decydowali się na to w ostatnim momencie i czasem, by uniknąć deportacji, musieli zdać się na łaskę sąsiadów lub obcych. Wziąwszy pod uwagę, że większość z nich nie poczyniła zawczasu żadnych przygotowań, zaskakująco wielu, bo aż 16 tys., dotrwało do wyzwolenia. Oznacza to, że w najlepszym razie przeżyło 64% ukrywających się, choć ten odsetek będzie nieco zawyżony, jeśli ulegnie zwiększeniu liczba wyjściowa – 25 tys. Nawet te dane są jednak nieco mylące, gdyż prawdopodobnie obejmują pewną liczbę *Mischlinge* i Żydów z mieszanych małżeństw, którzy – jeśli pozostawali pod opieką swoich współmałżonków – mieli większe szanse na przeżycie, oraz uwzględniają około 4 tys. dzieci, które w późniejszej fazie okupacji trafiły pod opiekę rodzin zastępczych.

W sumie liczba ocalałych była żałośnie mała. Ze 140-tysięcznej społeczności żydowskiej 107 tys. zostało deportowanych, z czego powróciło jedynie 5450 osób. Do tego można dodać 16 tys. ocalałych w podziemiu i 918 osób, którym mimo wszystkich przeciwności udało się zostać w obozie przejściowym w Westerbork aż do wyzwolenia przez 2 Armię Kanadyjską w kwietniu 1945 r.[65] W tej liczbie znajdowało się kilku pasażerów parowca „St. Louis", którzy w 1939 r. zostali przejęci przez rząd holenderski i stali się pierwszymi rezydentami obozu, mającego wówczas status centralnego obozu dla uchodźców. Przedstawienie holenderskich Żydów jako biernych ofiar nazistów wymaga jednak pewnego retuszu. O wiele więcej Żydów rozważało możliwości uniknięcia deportacji niż 25 tys. (lub nieco więcej) tych, którzy przeszli do działania, ale pętał ich strach i niedające się przezwyciężyć względy praktyczne. Ci, którym nie zabrakło odwagi, pomocy i środków, musieli egzystować w świecie cieni, gdzie nic nie było pewne poza zaciekłym dążeniem nazistów, by realizację planu „ostatecznego rozwiązania" doprowadzić do końca.

Z języka angielskiego przełożyła *Elżbieta Olender-Dmowska*

[65] *Geschiedenis van de Joden in Nederland*, red. J.C.H. Blom i in., Amsterdam: Balans, 1995, s. 351; Herzberg, *Kroniek…*, s. 316.

Słowa kluczowe
Żydzi w okupowanej Holandii, szanse przeżycia, ucieczki, siatki przerzutowe, ukrywanie się, kryjówki, samopomoc, pomoc z zewnątrz

Abstract
During the German occupation of the Netherlands between 1940 and 1945, around 75% of the country's Jewish population were deported and killed, primarily in the extermination camps of Auschwitz and Sobibor. Much attention has been paid to the factors which explain this, but this article questions how *any* Jews managed to survive in an increasingly hostile environment where there were no 'favorable factors' to aid them. The analysis centers on the attitudes of the Jews towards acting illegally, their relationships with the rest of Dutch society, and the possible opportunities for escape and hiding. It also looks at the myriad problems associated with the day-to-day experiences of surviving underground.

Key words
Jews in the occupied Netherlands, chance of survival, escapes, escape networks, hiding, hiding places, self-help, outside help